

The background of the cover is a dramatic illustration. A large, dark, horned demon with glowing orange eyes and wings stands in the center. Its right arm is engulfed in flames, and it reaches out towards a small child. The child, seen from the back, is kneeling in a shallow stream of water, reaching out with their hands. Blue, ethereal energy flows from the child's hands towards the demon's flaming arm. In the background, a massive fire consumes a structure, and a demonic face with a wide, toothy grin is visible within the flames. The overall color palette is dominated by dark blues, greys, and intense oranges and yellows from the fire.

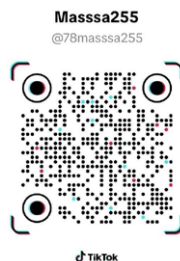
MACIEJ JAWORSKI
AUTOBIOGRAFIA

PIEKŁO,
UKRYTE BLIZNY
I MISTRZOSTWO
ŚWIATA

BookEdit

MACIEJ JAWORSKI
AUTOBIOGRAFIA

PIEKŁO, UKRYTE BLIZNY I MISTRZOSTWO ŚWIATA



BookEdit

Copyright © Maciej Jaworski, 2025

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: © Freepik.com/ rawpixel.com / RonnyDesign /
tahsinrahat786 / user12555082 / tohamina / Esin Deniz / anhoang11795 /
visualpoint

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68432-19-0

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl



PIEKŁO – jak wygląda? Czym jest to miejsce wiecznej agonii, w którym potępione dusze trawi straszna rozpacz i ból? Czy nieprzerwanie towarzyszą mu demony, ich palący ogień i niszczące zło, które kierowane jest na wiecznie potępionych? Co naprawdę dzieje się w czeluściach piekła i jak straszna męka dotykała moją duszę każdego dnia w domu rodzinnym? Dla mnie piekło nie jest abstrakcyjną wizją wiecznych płomieni gdzieś poza światem. Piekło jest na ziemi – tam, gdzie wojna, głód i choroby niszczą wszystko, co ludzkie. Przede wszystkim piekłem były codzienne powroty do domu, do miejsca, które powinno być azylem, a było więzieniem. Domu pełnego przemocy, gdzie każde słowo mogło stać się zapalnikiem, a każda chwila milczenia zwiastowała burzę. Wieczne awantury pełne krzyków, trzasków i okropnych dźwięków rozdzierały ciszę nocy, budząc we mnie strach, jakiego nie da się opisać słowami.

Piekłem był zapach – duszący, lepki od alkoholu, przesiąkający ściany, ubrania i skórę. Zapach wymieszany z wonią wymiocin i nieczystości, które stawały się niemal codziennym elementem mojego życia. Każdy oddech w tym domu był jak haust gorącego powietrza w ognistych czeluściach. Czułem, że tonę, że płonę od środka, choć na zewnątrz nie mogłem pokazać niczego, bo okazywanie słabości było równoznaczne z zaproszeniem do jeszcze większego cierpienia. Piekłem był wstyd, który zjadał mnie od środka, kiedy w szkole próbowałem udawać, że wszystko jest w porządku. Kiedy koledzy z podwórka śmiali się, a sąsiedzi patrzyli z pogardą. Nauczyciele, zamiast pytać, dlaczego jestem milczący, czemu moje ubrania są podarte, dlaczego nie mam śniadania, traktowali mnie jak zatrute powietrze. Czułem się niewidzialny i jednocześnie wystawiony na widok publiczny jak eksponat w muzeum hańby. Byłem

odrzucony, niezrozumiany, samotny. A ta samotność była jak kajdany, które ścisnęły mnie coraz mocniej z każdym dniem.

Czy te uczucia, które wtedy we mnie były – nieustanny strach, wściekłość na niesprawiedliwość świata, poczucie bezradności – nie były takie same jak w czeluściach ognistego piekła? Każdy dzień był walką o przetrwanie, o zachowanie resztek godności, której i tak nikt wokół mnie nie dostrzegał. Każda noc była koszmarem na jawie, bo zamykając oczy, widziałem to, czego nie chciałem widzieć. Piekło to nie miejsce. Piekło to stan umysłu, to codzienność, która zamienia człowieka w cień, w pustą skorupę, która udaje, że żyje, choć w środku już dawno wszystko się wypaliło. Piekło to brak nadziei. A ja jako dziecko jej nie miałem. Mój świat był szary, brudny, chaotyczny. Byłem dzieckiem, które musiało dorosnąć za szybko, które musiało znaleźć w sobie siłę, by przetrwać, gdy każdy dzień był testem na wytrzymałość. I choć dziś piszę o tym z perspektywy czasu, choć staram się zrozumieć, wybaczyć, pogodzić się z przeszłością, to wiem jedno – to, co przeżyłem, było piekłem na ziemi. A jednak w tym piekle udało mi się znaleźć płomień, który nie zgasł, mimo że wszystko wokół próbowało go zdusić. Ale o tym opowiem później.

UKRYTE BLIZNY. Każde wspomnienie jest jak gruba blizna – bolesna, ciężka, ciągle żywa. Niektóre z nich są twarde i pokryte grubą gumowatą skórą, inne wciąż się jętrzą, wydzielając truciznę, która zatruwa umysł i serce. Żadna z nich nigdy się do końca nie zagoiła. To, co przeżyłem w dzieciństwie – przemoc, odrzucenie, pogarda – zostawiło we mnie ślady, których nie da się wymazać. Każda z tych ran stała się źródłem problemów psychicznych, które latami niszczyły mnie od środka. Moje traumy były jak ciężkie chmury, które przesłaniały każdy promień nadziei. Ciężar był tak ogromny, że powodował we mnie stany psychozy. Lęk był moim codziennym towarzyszem – wszechobecnym, duszącym, paraliżującym. Czułem się jak w pułapce.

Czasami uciekałem w autoagresję, bo tylko ból fizyczny potrafił zagłuszyć ten psychiczny. Moje dzieciństwo było przepełnione trudnościami w szkole wynikającymi z braku koncentracji i napięcia, które nieustannie mną targało.

Każde spojrzenie dorosłych odbierałem jako akt oskarżenia, a każdy gest rówieśników – jako odrzucenie. Zaufanie stało się dla mnie czymś niemożliwym. Strach przed zranieniem izolował mnie od ludzi, tworząc mur, który jeszcze bardziej pogłębiał samotność. Nocą, zamiast ukojenia w śnie, czekały na mnie koszmary. Widzę je do dzisiaj – mroczne obrazy z przeszłości, które powracają, przypominając mi o wszystkich chwilach, gdy byłem bezradny.

Apetyt? Jednego dnia zniknął, by drugiego zamienić się w niepojętą łaknienie, jakby moje ciało szukało czegośkolwiek, co mogłoby zapełnić pustkę w środku. Te blizny psychiczne były moim piętnem. Nie pozwalały mi normalnie funkcjonować ani jako dziecko, ani jako młodzieniec. Każda nowa relacja była dla mnie wyzwaniem, każde spojrzenie było potencjalnym zagrożeniem. Czułem się jak wędrowiec, który niesie na plecach niewidzialny bagaż, cięższy z każdym krokiem. Dziś, mimo że wiele się zmieniło, wciąż czasem czuję jego obecność. Nie wszystkie rany da się zabić, a niektóre blizny są zbyt głębokie, by kiedykolwiek przestały przypominać o tym, co się wydarzyło. Ale uczę się z nimi żyć. Każdego dnia walczę, by nie pozwolić im zdominować mojego życia. To, co kiedyś mnie niszczyło, stało się dla mnie lekcją. Bo mimo że blizny pozostają, to jestem dziś silniejszy, niż byłem kiedykolwiek wcześniej.

MISTRZOSTWO ŚWIATA. W dzieciństwie większość z nas marzyła, aby zostać wielkim sportowcem. Gwiazdy stadionów i aren sportowych wydawały się niedoścignionymi wzorami, bohaterami z innego świata. Ja, pomimo udręki i traum z dzieciństwa, także o tym marzyłem. Chciałem być kimś, kto budzi podziw i szacunek, kto odciska swój ślad na świecie. Marzenia te były dla mnie jak małe płomyki w ciemnościach – delikatne, ale nie do ugaszenia. Nawet gdy życie próbowało je zdmuchnąć, walczyłem i się nie poddawałem. Przez blisko 40 lat próbowałem wznieść się na wyżyny sportowe. Za każdym razem, gdy byłem blisko, los rzucał mi kłody pod nogi. Czasami brakowało pieniędzy, innym razem zdrowia lub wsparcia. Były chwile, gdy sam podcinałem sobie skrzydła własnym chaosem, w który wpadałem, nie umiejąc uwolnić się od przeszłości. Byłem jak statek miotany sztormem, bez steru, bez mapy, płynący donikąd.

Jednak coś we mnie nigdy nie pozwoliło mi się poddać. Może była to dziecięca nadzieja, może upór, a może po prostu instynkt przetrwania? Próbowałem raz za razem, mimo porażek, mimo bólu i przeciwności. Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy mogłem spojrzeć w lustro i powiedzieć: UDAŁO SIĘ. Stałem się sportowcem z krwi i kości. Stałem się dokładnie tym, kim zawsze chciałem być. Jestem sportowcem, który mimo blizn na duszy, mimo upływających lat wciąż podnosi sztangę, walczy o każdy medal, każde trofeum, każdą sekundę lepszą od poprzedniej. I choć młodość już za mną, to cieszę się jak dziecko, gdy trzymam w rękach kolejny puchar. Każdy zdobyty medal jest dla mnie czymś więcej niż kawałkiem metalu. Jest pokłonem w kierunku mojej zawziętości, determinacji i tego, że nie pozwoliłem chaosowi i agresji mnie pochłonąć. Sport stał się moją przystanią, miejscem, w którym mogłem wreszcie złapać oddech. Każde ćwiczenie, każda kropla potu, każdy dzień na siłowni to moje wyzwolenie. Wyzwolenie od przeszłości, od bólu, od samego siebie z tamtych czasów. To, co kiedyś mnie przytłaczało, teraz stało się paliwem dla mojego ciała i ducha. Robię to, co lubię, to, co kocham, i to, co daje mi wiarę na lepsze jutro. Kiedy stoję na podium, gdy słyszę brawa i widzę uśmiechy ludzi, czuję, że to wszystko miało sens. Nie chodzi tylko o medale czy o pokonanie rywali. Chodzi o pokonanie samego siebie – tego, który kiedyś wątpił, który bał się, że nigdy nie wyjdzie z cienia swoich własnych demonów. Każde zwycięstwo jest przypomnieniem, że nawet z największego chaosu można stworzyć coś pięknego. Nie jestem już tym samym człowiekiem, którym byłem kiedyś. Mistrzostwo świata, które zdobyłem, nie ogranicza się do sportu. To zwycięstwo nad sobą, nad przeszłością, nad wszystkim, co próbowało mnie złamać. Każdy dzień, każda walka, każdy medal to dowód na to, że warto wierzyć, warto się starać i warto marzyć. I choć droga była długa i pełna przeszkód, dziś mogę powiedzieć, że jestem wolny. Jestem silny. Jestem sobą.

TO JSEM JĄ. Przyszedłem na świat 12 sierpnia 1978 roku. W roku, który na zawsze zapisał się w historii Polski, kiedy kardynał Karol Wojtyła, metropolita krakowski, został wybrany na papieża, stając się pierwszym Polakiem na tronie

piotrowym. Moje korzenie sięgają Wałbrzycha, miasta będącego kiedyś potęgą przemysłu węglowego. To miejsce miało swój niepowtarzalny charakter – wibruje energią, pełen historii i ciężkiej pracy ludzi, którzy je budowali. Choć moje serce zawsze będzie związane z Polską, od 20 lat mieszkam w Irlandii, w malowniczym hrabstwie Cork, gdzie odnalazłem nowy dom i przestrzeń do realizacji swoich pasji. Jedną z nich jest gotowanie. To dla mnie nie tylko sposób na wyrażenie siebie, ale także na dzielenie się miłością i radością z bliskimi. Moja wołowina z rozmarynem czy pieczona kaczka zawsze wzbudza zachwyt wśród znajomych – to nie tylko potrawy, ale i historie na talerzu, które tworzą niezapomniane chwile. W wolnym czasie lubię też zanurzyć się w lekturze, szczególnie w autobiografiach. Każda z tych książek jest dla mnie jak rozmowa z człowiekiem, który dzieli się swoimi przeżyciami, emocjami i doświadczeniem, a nic nie przemawia do mnie tak jak prawdziwa historia. Dopelnieniem moich pasji są długie spacerzy z moim psem, staffikiem, które pozwalają mi się wyciszyć i odnaleźć równowagę w codziennym życiu.

Patrząc na moje życie zawodowe, jestem dumny z tego, co udało mi się osiągnąć. Mam wieloletnie doświadczenie w pracy z ludźmi, wspierając ich w dążeniu do zdrowia i lepszej jakości życia. Moje kompetencje są potwierdzone licznymi kursami, szkoleniami oraz certyfikatami z zakresu dietetyki, kulturystyki i sportów siłowych, w tym powerliftingu. Specjalizuję się w pomocy osobom borykającym się z chorobami metabolicznymi, hormonalnymi oraz nadwagą. Wierzę, że każdy ma w sobie potencjał do zmiany – wystarczy tylko wsparcie, motywacja i odpowiedni plan działania. Moje zaangażowanie wykracza jednak poza pracę indywidualną. Wraz z małą, ale niezwykle zdeteminowaną grupą specjalistów prowadzimy spotkania dla Polonii w Irlandii. Są to przestrzenie pełne dialogu, wsparcia i inspiracji, gdzie omawiamy codzienne wyzwania, ale przede wszystkim pomagamy ludziom odkrywać w sobie siłę do działania. Nie ma dla mnie większej satysfakcji niż widok osoby, która dzięki naszej pracy zaczyna wierzyć w swoje możliwości i robi pierwszy krok ku lepszemu życiu.

Jako sportowiec mam jeszcze wiele do zrobienia, ale każde wyróżnienie jest dla mnie przede wszystkim dowodem na to, że ciężka praca, pasja

i determinacja przynoszą efekty. Jestem wielokrotnym mistrzem Irlandii, wicemistrzem Polski oraz mistrzem świata w bench press. Jednak moje sportowe osiągnięcia to coś więcej niż medale i tytuły – to historia walki z samym sobą, z ograniczeniami, które czasem narzuca ciało, i z wątpliwościami, które podpowiada umysł. Moja determinacja, empatia i zaangażowanie wynikają z głębokiego przekonania, że sport, zdrowy styl życia i wsparcie drugiego człowieka mogą zmienić nie tylko jednostkę, ale całe społeczności. Chcę być inspiracją i dowodem na to, że niezależnie od tego, skąd pochodzimy i jakie trudności napotkamy na swojej drodze, możemy sięgnąć po marzenia i przekraczać swoje granice.



WSTĘP 5

AKT I: CIEŃ PRZESZŁOŚCI – DZIECIŃSTWO

Ciągły strach	15
Chlebek ze śmierdzącą kiełbasą	18
Wstyd	20
Złoty łańcuch i koszulka Europe	22
Kto nie lubi świąt?	25
Agresja	29
Christo Stoiczkow – niespełnione marzenia piłkarza	34
Ciężary – trener Franek	38
Mały bohater o wielkim sercu	41
Pustka w sercu	43

AKT II: BUNT I ZAGUBIENIE – MŁODOŚĆ

Dawaj piątką	49
Furia w oczach – eskalacja emocji	52
Dyskotekowy figo-fago	54
Tyson vs Michalczewski	56
6 nalewek i zjadane szklanki	58
Kanapka, kromka...	60
Straszny szeregowy Jaworski	62
Masa-strongman	65
Tonąc w smutku	69

AKT III: CZY DRUIDZI MI POMOGĄ? – IRLANDIA

Niespodziewany telefon – odetchnąć trzeźwością	78
West Cork	80

Sen o oktagonie	83
Polska świnio!	86
Przeprowadzka na wiochę	88

AKT IV: CZTERDZIESTOLATEK – TWARZĄ W TWARZ Z DEMONAMI

Życie po czterdziestce – instrukcja obsługi	98
Jaglak	100
Sportowa wersja kurczaka i Leon	102
Passion of diving	104
Camp Nou – „mes que un club”	107
Pies	110
Samobój	113

AKT V: CHOROBA I ODRODZENIE

Nokaut	123
Rak nie ma szans!	126
Wodyń (Wielki Odyn) – Andrzej R.	129
Mistrzostwa świata	131
Mam złoto – jestem mistrzem świata!	134
Odkrywanie siebie – nowa misja	135
Nowa misja: inspirować, wspierać, zmieniać	137
Sukces to odwaga	139
Bench Press	143
Teorie spiskowe i piekące uszy	148
Co dalej?	152
Wiara czyni cuda!	155
Pokuta i wybaczenie	158
Rodzina	162

PODSUMOWANIE 173

TAK JUŻ NA LUZIE 177



CIEŃ PRZESZŁOŚCI – DZIECIŃSTWO

Moje dzieciństwo było walką o przetrwanie. Codzienność toczyła się pod znakiem krzyków, bólu i strachu. Alkoholizm rodziców i przemoc fizyczna były nieodłączną częścią mojego życia. Czułem się samotny, jakbym był uwięziony w koszmarze, z którego nie mogłem się wyrwać. Czy można nazwać dzieciństwem czas, w którym strach jest stałym towarzyszem, a miłość i bezpieczeństwo są jedynie odległym marzeniem?

Te wspomnienia to otwarte rany, które krwawią za każdym razem, gdy próbuję o nich mówić. Każda myśl, każdy fragment przeszłości jest jak ukłucie ostrym narzędziem, które bezlitośnie odkrywa ból z odległych czasów. Są to kawałki puzzli, które nigdy nie zostały złożone do końca, bo brakuje w nich najważniejszych elementów – miłości, bezpieczeństwa, akceptacji. Choć staram się o nich pamiętać, to wciąż są dla mnie zbyt bolesne, by w pełni je zaakceptować. Każda próba ich zrozumienia kończy się krwawym zgrzytem w duszy, a ja pozostaję uwięziony w labiryncie wspomnień, z których nie potrafię się wydostać. To cierpienie staje się częścią mnie, narzucając mi swoje zasady i ograniczenia. I choć czas mija, a ja dorosłem, cienie przeszłości wciąż szepczą mi do ucha, przypominając o tym, co stracone i nieodwracalne. Najgorsze wspomnienia z dzieciństwa noszę na sercu jak ciężki kamień. Są jak głębokie rany, które choć się zabiłiżyły, wciąż pulsują bólem. To, co opisuję, to zaledwie wierzchołek góry lodowej, cząstka mroku, który towarzyszył mi przez lata.

W głębi duszy noszę blizny po walkach z przeszłością, ale z każdym dniem jakby troszkę bledną. Coraz częściej doświadczam spokoju, co daje mi nadzieję na przyszłość bez cienia dawnych lęków.

WIĘKSZOŚĆ NAPRAWDĘ MROCZNYCH WSPOMNIEŃ
Z DOMU RODZINNEGO CHOWAM GŁĘBOKO W SERCU,
GDYŻ SĄ ZBYT BOLESNE, BY O NICH MÓWIĆ. TO, CZYM
DZIEŁĘ SIĘ Z WAMI, TO JEDYNI FRAGMENTY UKŁADAN-
KI, KTÓRE UDAŁO MI SIĘ ZŁOŻYĆ NA NOWO.

CIĄGŁY STRACH

Podobno przyszedłem na świat jako bardzo cherlawe dziecko. Moja waga wynosiła zaledwie 2,2 kg – tyle, co porządny kurczak. Pierwsze dwa lata życia to była walka o przetrwanie z krótkimi chwilami wytchnienia pomiędzy kolejnymi pobytami w szpitalu. Matka wspominała to z mieszaniną złości i wyczerpania, jakby miało to być dla niej dowód mojej „słabości” już na starcie. Zdawało się, że życie odebrało mi siły na długo przed tym, jak mogłem w ogóle pomyśleć o ich zyskaniu. Wczesne dzieciństwo nie niosło wcale perspektywy poprawy. Zamiast typowych dziecięcych przygód moje życie było pełne przeszkód. Już wtedy pojawiło się we mnie to coś – głęboko ukryta złość i frustracja, która zaczęła się zagnieżdżać w dziecięcym umyśle. Tamte lata były walką, a ja rosłem nie tylko z niedostatkiem sił, ale i ze świadomością, że nie mam wsparcia, że jestem w tej walce sam. Dzieciństwo spędziłem w cieniu patologicznej rodziny, gdzie alkohol lał się strumieniami, a przemoc była chlebem powszednim. Każdy dzień był jak kolejny odcinek koszmaru, w którym krzyki i płacz stawały się tłem, a nadzieja jedynie odległym wspomnieniem. Te traumatyczne doświadczenia wyrwały głębokie blizny na mojej psychice, deformując mój obraz świata i ludzi. Ciągły strach niczym niewidzialne kajdany krępował moje myśli i paraliżował ciało, zamykając mnie w pułapce niekończących się obaw i lęków.

Pamiętam, jak każdego dnia wracając ze szkoły, w mojej głowie kłębiły się te same pytania: Czy matka będzie trzeźwa? Czy będzie coś do jedzenia? Czy tego wieczoru znów rozlegnie się odgłos trzaskającego szkła i wrzasków, które przeszywają ściany, rozrywając moją dziecięcą duszę na strzępy? Czasami nawet zastanawiałem się, czy w ogóle uda mi się wejść do domu, czy drzwi znów będą zamknięte przede mną, drzwi rzeczywistości, w której rządziły alkohol, gniew i ból. Nienawidziłem tych awantur, nienawidziłem tego domu. Matka z ojczymem pili do granic wytrzymałości, a potem, jakby rozpaleni ogniem własnych frustracji, rzucali się na siebie w brutalnej, wyniszczającej walce. Huk tłuczonego szkła, ich nieludzkie wrzaski i mój łamiący się płacz tworzyły karkofonię rozpacz, która wypełniała każdy metr mieszkania, niszcząc poczucie

bezpieczeństwa, którego tak pragnąłem. Czułem się wtedy bezradny, mały, niewidzialny. Samotność była jak ciężki kamień na piersiach. Uciekałem pod łóżko, kurczowo ściskając poduszkę i przyciskając ją do uszu, próbując zagłuszyć niekończący się horror. Ileż to razy ktoś zwywał milicję. Ileż to razy przerażony uciekałem z domu, by późnym wieczorem siedzieć sam skulony w kącie korytarza, marząc o spokoju, który nigdy nie nadszedł. Te chwile były wiecznością, a ja byłem uwięziony w rzeczywistości, z której nie widziałem wyjścia.

Często po brutalnych pijackich awanturach matka, pełna gniewu i frustracji, przenosiła swoją złość na mnie. Bez względu na to, co zrobiłem – zawsze było źle, zawsze byłem winny. Nie było mowy o klapsach. Zamiast tego dostawałem regularny, bezlitosny wpierdol. Najczęściej biła mnie kablem od żelazka, którego zakończenie – porcelanowa wtyczka – raz za razem ładowało na mojej głowie. Mój tyłek, nogi i plecy były pokryte sinymi pręgami, jakby ktoś wypalał na mnie ślady bólu. Ten łomot stawał się moją codziennością, a za każdym razem, gdy to się działo, zastanawiałem się, jak długo jeszcze zdołam to znieść. Patrząc na te siniaki i rany, czułem, że niewielu ludzi przetrwałoby coś takiego – ale to była moja rzeczywistość, powtarzająca się z przerażającą regularnością.

Nienawidziłem także wszechobecnego brudu, syfu i odoru, który wypełniał nasz dom. To było jak życie w klatce, z której nie dało się uciec – smród alkoholu, rozlanego wina, starych butelek i zastałego powietrza. Często po powrocie ze szkoły zastawałem ten sam widok. Matka leżała pijana na kanapie, drzwi były szeroko otwarte, jakby zapraszały do środka cały ten chaos. Na stole piętrzyły się butelki po winie i piwie, a część ich zawartości, rozlana na podłogę, tworzyła lepkie plamy, których nikt już nawet nie zauważał. Miałem wtedy 7 lub 8 lat, ale to ja musiałem ogarniać ten bałagan. Otwierałem okna, próbując wpuścić choć odrobinę świeżego powietrza, sprzątałem stół, zmywałem podłogę, choć ledwo mogłem unieść wiadro i szmatę. To było moje dzieciństwo – nie zabawa, nie beztroska, ale walka z brudem i chaosem, które stawały się moimi codziennymi towarzyszami. Często gdy sprzątałem, matka budziła się z pijackiego snu, wrzeszcząc na mnie: „Gdzie jest miska? Dawaj ją,

zaraz będę rzygać!” Ten krzyk rozdzierał mi serce, a ja, wciąż mały chłopiec, czułem się odpowiedzialny za to wszystko, jakbym musiał sam dźwigać cały ciężar tego beznadziejnego świata.

CZY MAŁY CHŁOPIEC, KTÓRY WALCZYŁ O PRZETRWANIE,
MOŻE W PRZYSZŁOŚCI STAĆ SIĘ SILNIEJSZY NIŻ TO, CO
GO ZRANIŁO?

CHLEBEK ZE ŚMIERDZĄCĄ KIEŁBASĄ

Świętem było dla mnie zjedzenie ciepłego posiłku. Do dziś rosół jest moją ulubioną zupą – to smak dzieciństwa, który niósł ze sobą chwilę szczęścia. Gdy matka nie była pijana, a zdarzały się takie rzadkie chwile, robiła w niedzielę rosół. To był mój najszczęśliwszy dzień. Talerz gorącego rosółu, gotowanego na korpusie z kury, był dla mnie niczym Arka Przymierza dla Indiany Jonesa. Te chwile były wyjątkowe, bo zazwyczaj gdy wracałem ze szkoły a w lodówce były pustki, a moim jedynym posiłkiem był podeschły chleb i surowa cebula. Czasem, gdy siedziałem sam na korytarzu, nie mogąc dostać się do domu, któryś z sąsiadów przynosił mi obiad. Najlepiej pamiętam sąsiada Bronka. On troszczył się o mnie bardziej niż własna matka. Dawał mi słodczyce, to dzięki nie mu znałem smak czekolady. Był cudownym człowiekiem, którego życzliwość ratowała mnie od totalnej samotności.

W szkole, gdy słyszałem, jak ktoś narzeka: „Znów chleb z masłem i tą śmierdzącą kiełbasą”, cicho marzyłem, żeby mieć taką kanapkę. Często, gdy ktoś zostawiał jedzenie na ławce i siedł na przerwę, wykorzystywałem okazję. Kradłem kanapkę, chowając się w ubikacji, by w samotności rozkoszować się tym, co dla innych było banałem, a dla mnie prawdziwym luksusem. Kiedy dzieciaki w szkole i na podwórku dorastały, szybko zaczęły wykorzystywać moją sytuację. Wiedziały, że za kawałek czekolady, jabłko czy kawałek ciasta zgodzę się na każde, nawet najbardziej szalone pomysły. Robiłem rzeczy, na które nikt inny nie miałby odwagi. Wspinałem się po niemal pionowych skałkach, skakałem z drzewa na drzewo na kilkumetrowej wysokości, jakby życie nie miało dla mnie żadnej wartości. Gdy dostawałem rower, bez zastanowienia zjeżdżałem z tak stromej góry, że nikt inny nie ważył się spróbować. Adrenalina i nagroda w postaci jedzenia były dla mnie wystarczającym powodem, by ryzykować – to było moje jedyne okno na świat, w którym czułem, że mogę cokolwiek zyskać.

Do dziś czuję dziwny ciężar w sercu i mam mieszane uczucia, gdy widzę, jak ktoś bezrefleksyjnie wyrzuca jedzenie. Ten dzisiejszy przepych, te pełne stoły... W tamtych czasach byłby dla mnie jak dar z nieba. Nie miałem wtedy

głowy do myślenia o smażonym kurczaku, o kawałku soczystej wołowiny czy świeżych owocach. To były rzeczy z innego świata, luksusy, marzenie, które zdawało się tak daleko, że było wręcz nieosiągalne. Każdy kawałek chleba był wtedy skarbem. Dziś, patrząc na pełne lodówki i śmietniki pełne resztek, trudno nie poczuć ścisku w sercu, tej przepaści między wtedy a teraz. Uwierzcie mi, że soczysty kawałek wołowiny pierwszy raz zjadłem dopiero jako dorosły człowiek. W dzieciństwie nawet nie znałem tego smaku. Kiedy słuchałem, jak inni opowiadają o swoich śniadaniach, obiadach, kolacjach, a czasem i o słodkich podwieczorkach, miałem wrażenie, jakby coś ścisnęło mi żołądek. Ja wracałem do domu i zadowalałem się kromką chleba z cebulą albo, jeśli miałem szczęście, plasterkami smażonej słoniny. Słodyczne były poza moim zasięgiem – choć patrząc z perspektywy lat, może wyszło mi to na zdrowie. Teraz, mając prawie pięćdziesiątkę, mogę pochwalić się zębami zdrowymi jak u konia. Moje dzieciństwo było skromne i biedne, ale nauczyło mnie doceniać to, co miałem. W tamtych czasach, wśród prostych posiłków, znalazłem swoje ulubione smaki – chleb, cebulę i słoninę. Może nie była to wykwintna kuchnia, ale dzięki niej szanuję to, co mam, a brak słodczy, który wtedy odbierałem jako stratę, stał się moim nieoczekiwanym zyskiem.

Strach mieszał się ze wstydem, jakby każda godzina spędzona w szkole czy na podwórku była aktem oskarżenia. Dzieciaki wiedziały. Wszystkie. Każdy szmer, każdy szept, każdy złośliwy uśmiech mówił o jednym – o problemach alkoholowych moich rodziców. W ich oczach stawałem się inny, obcy, wykluczony. Naśmiewali się, szydzili, jakby czerpali z tego przyjemność, a ja z każdą kolejną drwiną czułem, jak oddalam się od nich. Nigdy nie udało mi się dołączyć do ich grup, nie mogłem. Byłem „ten inny”. Ileż to razy ktoś z satysfakcją napomknął, że widział moją matkę pijaną, zataczającą się w sklepie. Ile razy ktoś mówił wprost: „Ale była u ciebie awantura, cała ulica słyszała”. W środku czułem płomień, który trawił moje wnętrze, a na zewnątrz ten sam ogień palił moją twarz. Wstyd, który nie opuszczał mnie przez lata, nie dawał wytchnienia, był jak cień, zawsze obecny, zawsze przypominający, kim byłem w oczach innych.

Matka nigdy nie pojawiała się na wywiadówkach, na rozpoczęciach czy zakończeniach roku. Nie było jej, gdy inne dzieci biegly po uśmiechy i pochwały od swoich rodziców. Wszystkie wydarzenia szkolne odbywały się bez niej, a ja... byłem sam. Sam jak palec. Nikt się nade mną nie litował, nikt nie pytał, jak się czuję. W tamtych czasach rodzice nie rozmawiali ze swoimi dziećmi o trudnych tematach, nie tłumaczyli, dlaczego niektóre dzieci są inne, dlaczego potrzebują zrozumienia. W oczach rówieśników byłem tylko wyrzutkiem – kimś, kogo można zepchnąć na margines bez wyrzutów sumienia. To wyobcowanie budziło we mnie gniew. Głęboki, nieokiełznany gniew, który często wymykał się spod kontroli i prowadził do bójek. Walczyłem, bo tylko w ten sposób mogłem czuć, że jeszcze coś znaczę. Ale w oczach innych stawałem się agresorem, kimś niebezpiecznym, dzieciakiem z patologicznej rodziny. Tę łatkę przyczepili mi już na zawsze. Mimo wszystko miałem swoje talenty. Uwielbiałem sport, byłem jednym z najlepszych w biegach, piłce nożnej, w grze w kosza. Język polski i historia były dla mnie jak azyl, schronienie przed brutalnym światem, który mnie otaczał. Tam mogłem na chwilę zapomnieć, kim byłem w oczach innych. W tych przedmiotach czułem się mocny, wyjątkowy – byłem kimś. W świecie literatury i przeszłości odnajdywałem sens, którego brakowało mi w codzienności.

Książki i komiksy połykałem z prawdziwą pasją. Były moją ucieczką od trudnej codzienności, światem, w którym mogłem na chwilę o wszystkim zapomnieć. W ich bohaterach i historiach odnajdywałem siłę i nadzieję, których brakowało mi na co dzień. Zdarzało się, iż błyszczałem na lekcjach, jednak nawet nauczyciele nie widzieli we mnie kogoś, kto potrzebuje wsparcia. Moje sukcesy trwały tylko chwilę, a poza klasą wracałem do roli tego, którego łatwo było przeoczyć. Nie patrzyli głębiej, nie próbowali zrozumieć, że to, co dzieje się poza szkołą, pozostawia ślad, który nie znika wraz z dzwonkiem.

Wstyd był moim nieodłącznym towarzyszem, odkąd tylko sięgam pamięcią. Miał on wiele twarzy – nie miałem jedzenia na szkolnej przerwie, nigdy nie miałem wody czy też ciepłej herbaty w termosie. Noszone przeze mnie ubrania były pocerowane, swetry znoszone, a buty często rozpadały się przy każdym kroku. Wstydziłem się wszystkiego: matki, ojczyma, domu. Na każdym kroku, na każdej płaszczyźnie życia czułem palący wstyd, który osaczał mnie z każdej strony i wżerał się głęboko w poczucie własnej wartości. Przez długie lata wstyd stał się cieniem, z którym trudno było mi się rozstać, nawet dzisiaj, gdy przeszłość dawno odeszła. Złapałem się na tym, że wciąż usiłuję zapanować nad otoczeniem – nad każdym kubkiem, który musi być od razu umyty, nad każdym okruszkiem, którego nie może być na stole. Nawet najmniejsza plamka na ubraniu czy ślad na butach budzą we mnie niepokój. Mam buty, które mają po dziesięć lat, a wyglądają niemal jak nowe, bo gdzieś we mnie wciąż czai się dawny strach przed wstydem z powodu brudu, zaniedbania, biedy. Ten lęk przed byciem ocenionym, przed zażenowaniem, zaszył się głęboko i każe mi trzymać wszystko w idealnym porządku. Wiem, że to nie jest zdrowe i staram się nad tym pracować, by nauczyć się luzu, by pozbyć się ciężaru przeszłości. To jednak droga długa i wyboista – wyzwolenie się z tak głęboko zakorzenionych lęków nie przychodzi łatwo. Każdy krok w tym kierunku to dla mnie mały sukces, choć wciąż niełatwo mi o nim mówić.

**MOJE DZIECIŃSTWO SPOWIJAŁ WSTYD, CZY MAM
SZANSĘ BYĆ SILNIEJSZY OD TEGO, CO NAZNACZYŁO
MNIE BLIZNAMI?**

ZŁOTY ŁAŃCUCH I KOSZULKA EUROPE

Majowe bardzo pamiętne i emocjonalne popołudnie – wyjątkowe, bo po Komunii Świętej, czyli dniu, który dla dziecka powinien być świętem pełnym radości i obdarowywania, stał się w mojej pamięci następnym traumatycznym wspomnieniem. Zjechała się część rodziny, a wraz z nimi sąsiedzi. Wszyscy, którzy zamiast świętować ze mną, chętnie zatopili się w kieliskach, bez umiaru rozlewając wódkę, którą traktowali jako stałego gościa każdego spotkania. Wtedy byłem zaledwie ośmioletnim dzieckiem. Pamiętam prezent od ciotki z Niemiec – złoty łańcuszek, cenny, błyszczący skarb, który miał być moją pamiątką. Dostałem też koszulkę zespołu Europe, jedną z niewielu rzeczy, które miałem z zagranicy. Było ciepło, słonecznie, jakby natura obiecywała beztrudne chwile. Wykorzystałem to i wybrałem się nad staw na Gedymina, gdzie często zbierały się dzieci, by ochłodzić się w wodzie, jakby każde z nas próbowało uchwycić jakąś chwilę spokoju i szczęścia. Zostałem prezenty na trawie, pewny, że wrócę, a będą tam na mnie czekały. Wszedłem do wody, ciesząc się krótką wolnością, i zanurzyłem się, żeby zmyć z siebie wszystko, co chciałem zostawić za sobą. Jednak kiedy wróciłem na brzeg, świat stanął w miejscu. Złoty łańcuszek i koszulka zniknęły – ktoś, być może czujny obserwator, zauważył moje skarby i z łatwością je przywłaszczył. Stałem przez chwilę w bezruchu, nie dowierzając, że w jednej chwili straciłem to, co było dla mnie bardzo, bardzo cenne.

Czekałem na zmierzch przerażony tym, co mnie czeka. W końcu ruszyłem w drogę powrotną jedynie w samych gatkach, z obciążonym sercem i strachem w głowie. W domu, gdzie trwała już pijacka zabawa, byłem jak intruz, który od razu ściągnął na siebie gniew. Pytali, co się stało, każdy z twarzą rozmazaną od alkoholu. Odpowiedziałem, że napadli mnie i wszystko zabrali – bałem się przyznać, że poszedłem tam, gdzie nie powinienem. Wódka pobudziła ich jak ogień, kilka osób natychmiast wyszło gotowych do bójki, szukając winnych, podczas gdy ja zostałem sam na sam z matką. Była wściekła. Zaciśnęła pięści, a ja nie miałem dokąd uciec. Ręce latały we wszystkie strony, a kiedy próbowałem uciec, wzięła kabel od żelazka. Uderzenie za uderzeniem spadały na

moje ciało – na ramiona, plecy, głowę. To był ból, który palił jak żar, ale kiedy upadłem, przestałem go czuć. Byłem tylko wiotkim ciałem, które nie miało szans się bronić. Kiedy leżałem bez ruchu, z trudem łapiąc oddech, ona nie przestawała, jakby zaślepiona własną furią biła mnie, nie widząc, że nie mam już siły, że z każdą chwilą coraz bardziej przypominam przedmiot, a nie dziecko. To był jeden z największych „wpierdolów” w moim życiu, ale nie ostatni. W tamtym domu nie istniała różnica między przewinieniem a karą – każdy błąd, czy to mały, czy wielki, kończył się bólem.

Bycie dzieckiem w moim domu oznaczało życie na linii frontu. Każdego dnia zastanawiałem się, czy za coś niewielkiego, a może wręcz bez powodu przyjdzie fala uderzeń. Moje występki były jedynie pretekstem, drobnym bodźcem wyzwalającym gniew matki, który przetaczał się nade mną niczym lawina. Czasem nawet zwykła pomyłka, jak zgubione drobiazgi lub błaha uwaga nauczyciela w zeszytach, wystarczały, by zasłużyć na karę, której intensywność nierzadko doprowadzała mnie do utraty przytomności. Takie życie – ciągła niepewność, wyczekiwanie na kolejne razy – zmienia człowieka już od pierwszych lat i to na zawsze. Zamiast budować obraz siebie i swoje poczucie wartości zaczynałem identyfikować się ze strachem i bólem. Każde uderzenie wbijało mi w serce poczucie, że jestem nikim, przedmiotem, którego cierpienie nie ma znaczenia. Utrata przytomności, ból rozlewający się po ciele, odrętwienie... to stawało się moją codziennością, moją normą. W dorosłym życiu brak bezpieczeństwa i przemoc, stawały się czymś, co przenikało każdy aspekt mojego bycia. Brak wzorca miłości i szacunku przekuł się na nienawiść do siebie, a złość, którą czułem, nieustannie pulsowała, szukając ujścia. Trafiła w każdą sytuację, każdy konflikt, czasem nawet osoby, które nie miały z tym wszystkim nic wspólnego. Potrzeba wyładowania gniewu stawała się jak niezaspokojony głód. Musiałem udowadniać innym – i sobie – że coś znaczę, że mam siłę, że jestem w stanie walczyć, choćby to oznaczało, że będę niszczyć.

To, co było za mną, nie było tylko wspomnieniem, to była wręcz przestroga w mojej głowie. Nie wiedziałem, czym jest miłość, czym jest bezpieczeństwo, czym jest ciepło. Znałem tylko lodowate uczucie obojętności wobec cierpienia i nieustanne napięcie, które rozciągało się na każdą sferę mojego

życia. Żyłem w świecie, w którym ból był podstawą wychowania, gdzie każda pomyłka czy przewinienie były jak wyrok, po którym następowała bezlitosna kara. Z czasem przemoc stała się jedynym językiem, który znałem. Nie potrafiłem wyrazić swoich emocji inaczej niż przez agresję i gniew. To piekło dzieciństwa wypaliło we mnie ślad, jakby gorące żelazo wypaliło we mnie tożsamość, której nie mogłem już zmyć, i ciągnęło się to za mną latami.

Kilkanaście lat później, już jako dorosły mężczyzna, wyjechałem do Irlandii, gdzie pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było odłożenie większej sumy na coś wyjątkowego. Kupiłem sobie złoty łańcuch, masywny, stugramowy. Pragnienie, by mieć własny, solidny łańcuch sięgało daleko w przeszłość. Strata drogiego, złotego łańcuszka – pierwszej rzeczy, która była tak naprawdę moja, i pamięć o niewyobrażalnym bólu, o karze kablem za jego zgubienie, wciąż we mnie siedziała. Nie mogłem się od tego uwolnić, dopóki nie poczułem ciężaru nowego, grubego łańcucha na swojej szyi. Stanowił on dla mnie coś więcej niż tylko biżuterię. Był dowodem na to, że przetrwałem, że mogłem teraz pozwolić sobie na coś, co kiedyś było mi zabrane. Nie wiem, dlaczego akurat ten moment sprawił, że poczułem ulgę, ale gdy pierwszy raz zawiesiłem go na szyi, poczułem, jakbym coś odzyskał. Jakby to, co kiedyś utraciłem, wreszcie do mnie wróciło, a wraz z tym jakaś część mnie samego. To było dziwne i niezrozumiałe dla mnie w tamtym czasie. Jednak teraz, z perspektywy lat, rozumiem, że to uczucie, które wtedy wydawało się niejasne, dało mi poczucie spełnienia. Kupując złoty łańcuch, poczułem, jakby moja przeszłość, pełna braków i trudnych doświadczeń, w końcu znalazła swój symboliczny koniec. Mimo że nie potrafiłem wtedy tego w pełni zrozumieć, teraz wiem, że to był krok ku poczuciu, że mam coś tylko dla siebie, coś, co reprezentowało moją wartość niezależnie od przeszłości. Wydaje mi się, że ten moment spełnienia jest czymś osobistym – manifestacją, której szukałem na tamtym etapie życia. Może to wynikać z poczucia utraty kontroli w dzieciństwie i późniejszej potrzeby odzyskania czegoś materialnego, co dawało poczucie stabilności i samodzielności. Teraz, po kilkunastu latach, patrzę na niego inaczej. To już tylko przedmiot, kawałek metalu, który dziś leży gdzieś w szafce. Nie ma już dla mnie mocy, którą mu kiedyś przypisywałem. Z czasem nauczyłem się, że moja siła nie tkwi w przedmiotach. Nie potrzebuję już symboli, by wiedzieć, kim jestem.

KTO NIE LUBI ŚWIĄT?

Kto z was nie lubi świąt? Przecież to taki piękny czas – Wielkanoc czy Boże Narodzenie to czas spędzony z bliskimi, z rodziną, wśród ludzi, których się kocha. Dla mnie jednak święta to coś zupełnie innego. Przez kilkanaście lat nie zaznałem tego, co większość z was uważa za normę. Wielkanoc? W naszym domu nie istniała. Matki nigdy nie było – przeważnie spała pijana po nocy zakrapianej alkoholem albo bawiła się gdzieś u znajomych. Ojczym? To był człowiek widmo, gość, który pojawiał się i znikał bez śladu, a gdy się pojawiał na dłużej... historie już znacie. Jednak z perspektywy czasu zaczynam dostrzegać, że obraz mojego ojczyma, choć pełen ciemnych barw, nie jest jednoznaczny. Tak, był alkoholikiem, a jego życie toczyło się w cieniu butelki i ciągłych awantur. Thukł się z matką nie miłosiernie, sceny, pełne hałasu, przemocy i krzyku na zawsze pozostały w mojej pamięci. Jednak gdy próbuję spojrzeć na te wydarzenia bardziej obiektywnie, zauważam, że wina za te rodzinne bitwy leżała w dużej mierze po stronie matki.

Ojczym – Tadeusz, mimo swoich słabości nigdy mnie nie uderzył. Nie podniósł na mnie głosu, nie okazał agresji, którą tak często widziałem w jego relacjach z innymi. W tamtym chaotycznym i pełnym bólu świecie, jaki tworzył mój dom, on jawił się jako ktoś, kto w pewnym sensie pozostawał na uboczu, przynajmniej w odniesieniu do mnie. Czy mieliśmy relację? Chyba tak i – paradoksalnie – była ona lepsza niż ta, którą miałem z matką. Nie mogę powiedzieć, że mnie wspierał czy że był dla mnie wzorem do naśladowania. Ale był wobec mnie neutralny, a w tamtej rzeczywistości to już było wiele. W jego obecności czułem mniej lęku, mniej napięcia niż wtedy, gdy musiałem mierzyć się z matką, jej gniewem, słowami, które raniły równie mocno jak czyny. Może dlatego dziś, gdy myślę o nim, nie czuję żalu, jaki odczuwam wobec innych osób z mojej przeszłości. Może widzę w nim człowieka słabego, zagubionego, który sam nie potrafił unieść ciężaru życia, ale mimo wszystko nie dodawał mi kolejnych ran. W tamtym domu to była rzadkość. I choć daleko mi do idealizowania go, w jakiś dziwny sposób jestem mu za to wdzięczny.

Dwa razy w życiu zdarzyło się, że usiadłem do wigilijnej kolacji. Pierwszy raz zakończył się szybko, zjedliśmy barszcz z uszkami, kilka pierogów, matka

spakowała torbę z winem i poszła w cug. Drugi raz, u dziadków, miał być nadzieją, ale szybko przerodził się w koszmar. Dziadkowie nigdy mnie nie zaakceptowali. W ich oczach byłem „bachorem z nieprawego łoża“, żywym dowodem hańby mojej matki. Święta były tylko pretekstem, żeby wyciągnąć z ukrycia wszystkie żale. Kolacja ledwo się zaczęła, a już rozmawiali o matce, o jej problemach z alkoholem i o jej upadku. Potem padło na mnie. „Zawsze masz problemy w szkole“, „Ciągłe się bijesz“, „Wieczne z tym bachorem problemy wychowawcze“. Ale nikt nigdy nie zapytał, skąd te problemy... Nikt nie zastanowił się, co się dzieje z moją zniszczoną psychiką, dlaczego zachowuję się tak, a nie inaczej. To było zbyt trudne. Łatwiej było mnie oskarżać. Wstałem od stołu, powiedziałem kilka słów, które musiały paść, a w odpowiedzi dostałem od matki strzał z otwartej ręki prosto w twarz. Wyrzucili mnie. Miałem dziesięć lat, była zima, temperatura spadła do -20 stopni. Godzina grubo po 22, a ja szedłem pieszo kilka kilometrów przez śnieg i mróz (Piaskowa Góra – Biały Kamień). Czy ktoś się tym przejmował? Nikt. To był mój świat, moje święta. Wszystkie święta, zwłaszcza te bożonarodzeniowe, to trudny i bolesny czas. Zawsze były pełne samotności. Kojarzą mi się z godzinami spędzonymi przy oknie, gdy patrzyłem, jak pada śnieg. Owinięty kocami próbowałem chronić się przed zimnem, które nieustannie wypełniało dom. Wszechogarniający ziąb panował nie tylko w powietrzu, ale i w relacjach, uczuciach – w każdym kącie mojego świata. Dlatego do dziś, choć bardzo się staram ze względu na żonę i dzieci, w głębi serca nie mam sentymentu do żadnych świąt. Każdy rok to próba, by stworzyć dla nich coś lepszego, ale gdzieś wewnątrz wciąż noszę te wspomnienia, które nie pozwalają mi w pełni cieszyć się tym czasem.

Najczęściej moja jedyną rozrywką w święta Bożego Narodzenia było szwendanie się do późnych godzin nocnych po ulicach Białego Kamienia. Byłem dzieciakiem, a mimo to każdy krok w ciemności wydawał się bardziej znajomy i bezpieczniejszy niż powrót do zimnego domu. Zawsze miałem nadzieję, że któryś z ówczesnych dzieciaków z podwórka zaprosi mnie na Wigilię albo choćby na chwilę do ciepłego pokoju w pozostałe dni świąteczne. Niestety, nigdy się tak nie stało. Pozostawało mi więc jedynie maszerowanie przed siebie, spoglądanie na księżyc i marzenie o ciepłej stawie, pachnącej choince

oraz prezentach, które dla innych były oczywistością, a dla mnie czymś równie odległym jak bajka. Siarczasty mróz szczypał mnie w policzki i dłonie, ale wolałem to uczucie niż zimnicę w domu i przerażającą pustkę, którą czułem, patrząc przez okno na opustoszałą ulicę. Dom, choć powinien być schronieniem, był miejscem, gdzie czułem się najmniej bezpieczny. Każdy śmiech dzieci zza szyb ciepłych mieszkań ranił mnie jak niewidzialne ostrze. Czasem, idąc przez ulicę, zatrzymywałem się na chwilę przy jakimś oknie, gdzie widziałem rozświetloną choinkę i rodzinę przy wigilijnym stole. Byłem jak cień, niemal niewidzialny, ale raz zdarzyło się, że jedna z sąsiadek zauważyła mnie, jak gapię się na jej okna. Nie powiedziała wtedy nic, tylko zasunęła firanki, a na drugi dzień, kiedy spotkała mnie na podwórku, zrugła mnie okrutnie, jakby chciała sprawić, bym poczuł jeszcze większy wstyd. Mimo tego nadal podglądałem innych, siedzących przy stole, dzielących się opłatkiem, śmiejących się i śpiewających kolędy. Tylko w ten sposób mogłem poczuć namiastkę magii – tego, co mnie co roku omijało. Te chwile były smutne, przygnębiające, wręcz brutalne, ale w tamtych latach, choć byłem dzieckiem, zaczynałem już rozumieć, że nie wszystkie marzenia mogą się spełnić. Mimo to marzyłem. Każdej nocy pod chłodnym blaskiem księżyca wyobrażałem sobie, że w końcu ktoś otwiera przede mną drzwi, woła mnie do środka i podaje talerz z ciepłą zupą. Ale drzwi zawsze pozostawały zamknięte, a ja wracałem do pustego domu, gdzie nawet choinka była luksusem, o którym mogłem tylko pomarzyć. Takie było moje dzieciństwo. Pełne chłodu, samotności i cichego pragnienia, by choć raz w życiu poczuć ciepło, którego nigdy nie zaznałem.

Podobnie jak święta, tak i urodziny nigdy nie były wyjątkowe, po prostu ich nie było. Były jedynie kolejnymi kartkami w kalendarzu smutku. Jedyny raz, kiedy poczułem cień radości, był wtedy gdy matka, jakby od niechcenia, przyniosła domowe ciasto. Zaprosiłem „kolegów”, ale nie miałem nadziei, że ktoś przyjdzie. Kto by przyszedł do kogoś takiego jak ja? Do domu, gdzie echo kroków zawsze budziło strach? Do tego domu zawsze cuchnącego odorem alkoholu? A jednak stało się coś niezwykłego. Znaleźli się odważni, bracia z bloku obok, Eryk i Błażej. Pamiętam ich uśmiechy, smak tego prostego ciasta i radość z otrzymania paska Pumy i piłki nożnej. To były bardzo krótkie chwile,

ale czystej radości, które na zawsze zapisały się w mojej pamięci, kontrastując z szarą codziennością.

„LIFE IS BRUTAL” – TE SŁOWA, KTÓRE USŁYSZAŁEM
GDZIEŚ W FILMIE, BYŁY DLA MNIE ZROZUMIAŁE NA DŁU-
GO PRZED TYM, JAK NAUCZYŁEM SIĘ JE POPRAWNIE
WYMAWIAĆ.

AGRESJA

Agresja (łac. *aggresio* – napaść) – w psychologii określenie zachowania ukierunkowanego i intencjonalnego na zewnątrz lub do wewnątrz, mającego na celu spowodowanie szkody fizycznej lub psychicznej (Wikipedia).

Jako dorastający dzieciak nie myślałem o tym, by podczas bójki celowo zrobić komuś krzywdę. Chciałem jedynie udowodnić, że jestem silniejszy. Wierzyłem, że jeśli pokażę swoją siłę, to w jakiś sposób będę coś wart. Jak mogłem inaczej rozwiązać konflikty, skoro nikt mnie tego nie nauczył? W domu codziennie widziałem przemoc. Raz matka wracała z podbitymi oczami, innym razem ojczym z rozciętą głową jechał na pogotowie po tym, jak dostał w twarz kryształową popielniczką. W szkole i na podwórku było podobnie – ciągle słyszałem docinki starszych dzieciaków: „Twoja matka to pijaczka, twoja rodzina to jedno wielkie gówno, jesteś nikim”. Te słowa brzmiały jak ostrza, które wbijały się głęboko w moją skórę. To wszystko pchało mnie w wir bójek ze starszymi chłopakami. Najczęściej kończyło się tak samo – wracałem do domu z rozbitym nosem lub krwawiącymi ustami. Ale nie myślałem o sobie. Myślałem tylko o tym, że ktoś śmiał źle mówić o mojej mamie. Nieważne, co się działo w domu, byłem gotów bronić jej imienia. Takie było to dzieciństwo... Dzieci w tamtych czasach, nieważne jak tragiczne miały życie, potrafiły bronić nawet najgorszych rodziców. Nie ja pierwszy i z pewnością nie ostatni.

Miałem wyjątkowego prześladowcę, którego do dziś pamiętam bardzo wyraźnie – Robert F. Znęcał się nade mną bezlitośnie. Był starszy o jakieś pięć lat, a to wystarczyło, żeby każda konfrontacja z nim była z góry skazana na porażkę. Kiedy tylko wychodziłem na podwórko, starałem się go unikać, bo wiedziałem, jak to się skończy – wyzwiskami, gnębieniem i kolejną bójką, w której nie miałem szans. Robert mieszkał w bloku obok, więc nigdy nie byłem bezpieczny. On i jego paczka znajomych polowali na mnie, a byłem łatwym celem – mały, zastraszonego chłopak, za którym nikt się nie wstawi. A rodzice? Ich to gówno obchodziło! Ich nie interesowało, że jestem bity, nękan, prześladowany. Dla nich liczyło się tylko to, żeby się nachlać. Byłem sam, bezbronny, jak

zwierzę zapędzone w róg, bez drogi ucieczki, bo w domu nie było bezpieczniej niż na ulicy. Ciągłe cięgi, które zbierałem od starszych, i niekończące się bójkі z czasem częściowo mnie zahartowały. Przestałem się bać ciosów – dostanie w twarz stało się dla mnie czymś zwyczajnym. Owszem, unikałem starć, jeśli mogłem, ale nigdy nie uciekałem przed zagrożeniem. A gdy już dochodziło do konfrontacji, walczyłem z całych sił, jakby każda bójka była kwestią przetrwania. Właśnie dlatego dokuczających mi rówieśników lałem na kwaśne jabłko. Miałem w sobie gniewną siłę, wyćwiczoną przez niekończące się konfrontacje z kimś silniejszym i starszym. Gdy przyszło do walki z tymi, którzy byli na moim poziomie, nie miałem litości.

Z czasem kłopoty w szkole zaczęły się pogłębiać. Nie chodziło o naukę, problemem było moje zachowanie. Z ciemężonego chłopca, którym byłem w domu, w szkole stawałem się kimś zupełnie innym. Zacząłem sam szukać zaczepki. Nawet w swojej klasie większość osób mnie nie lubiła, ale przynajmniej nikt już nie mówił złego słowa o mojej patologicznej rodzinie. Na przerwach ciągle się z kimś biłem. Uwagi w dzienniczku od nauczycielek stały się codziennością, ale ani mnie, ani moich rodziców to nie interesowało. Pamiętam, jak pewnego dnia dyrektorka wezwała mnie do gabinetu. W pokoju czekała ona, wychowawca i milicjant. Starali się mnie uświadomić, że jeśli tak dalej pójdzie, wyląduję w poprawczaku. Ale nie robiło to na mnie większego wrażenia, po prostu tego nie rozumiałem. Bójki były częścią codzienności, a po powrocie do domu czekało na mnie to samo. W szkole biłem się, by przetrwać i udowodnić swoją wartość, w domu zaś walczyłem, by po prostu przeżyć kolejny dzień.

Gdy byłem w szóstej klasie, nie było już nikogo w całej podstawówce, kto mógłby mi się przeciwstawić. Gdy pięści przestawały wystarczać, byłem tak zdeterminowany, że potrafiłem wgryźć się komuś w ciało – w klatkę piersiową, rękę czy nogę. Walczyłem każdą możliwą bronią, ale wygrywałem. Byłem zły, pełen gniewu i buntu, gotowy stawić czoła każdemu, kto stanął mi na drodze. Nie bałem się kłopotów, to był mój świat buntu, gdzie nikt nie mógł mi niczego narzucić. Byłem nieprzewidywalny, a ta niepokorność sprawiała, że chwile były jak chwytywanie ognia w rękach. Pamiętam, jak raz wypchnąłem kolegę przez

okno, bo w ostatniej chwili zmienił zdanie i postanowił nie iść na wagary. Zakończyło się to złamaniem obu jego rąk. Innym razem prawie wybiłem oko przyszlemu, dobremu koledze z siłowni za to, że nazwał moją matkę pijaczką. Oko zwisało na samych żyłach, a ja nie czułem nic oprócz gniewu. Jeszcze innym razem pobiłem kogoś, bo miał inne zdanie. Pobiłem kogoś, bo źle grał w piłkę. Czasem wystarczyła jedna niewinna odzywka, a ja już byłem pełen furii, gotowy lecieć z pięściami. Nie potrzebowałem powodu, żeby wybuchnąć, wystarczył impuls, by moja złość przerodziła się w gwałtowną agresję. Dopiero po latach widzę, jak bardzo byłem zagubiony, jak niezdolny do normalnego życia wśród rówieśników. Moje życie było pełne chaosu i przemocy, ale najbardziej boli mnie to, że nikt mi nie pomógł. W latach 90. nikt nie zwracał sobie głowy takimi jak ja – wynaturzonymi dzieciakami pełnymi agresji i nienawiści do całego świata. Byłem samotny w swoim bólu, wściekły, niewidoczny dla tych, którzy powinni zauważyć, że coś jest nie tak. To była ciemność, z której nie widziałem wyjścia, a nikt nawet nie próbował zapalić światła.

Agresja nie zawsze oznacza, że chce się komuś zrobić krzywdę. Teraz to rozumiem. Widzę to z perspektywy lat, a obraz tego chłopca, którym kiedyś byłem, nabiera nowego znaczenia. Tamta agresja, te pięści zaciskane w bezradnej furii, to nie była chęć niszczenia, choć tak wtedy mogło się wydawać. To było coś głębszego, coś, czego nie potrafiłem wyrazić słowami. Dziś postrzegam tamtego chłopca i jego dziką wściekłość w zupełnie inny sposób. To było rozpaczliwe wołanie o pomoc. Każdy cios, każda bójka, każde zranienie to był krzyk przez nikogo niezauważony. W moich oczach nie było nienawiści, choć mogło się tak wydawać. Było tam tylko niezrozumienie, strach i bezsilność, które nie znalazły innej drogi wyjścia, jak tylko przez pięści. Dzieciak, który potrafił gryźć, walczyć do upadłego, wyrzucać kolegów przez okna, to nie był potwór, to był ktoś zagubiony w świecie, który nie dawał mu miejsca ani możliwości, by wykrzyczeć, że potrzebuje pomocy. Dorosli nie patrzyli dalej niż na to, co było na wierzchu – agresja była tylko problemem do opanowania, nie sygnałem do zrozumienia. A ja? Potrzebowałem tylko jednego – żeby ktoś w końcu mnie zobaczył. Ale nikt tego nie zrobił. Nikt nie słyszał mojego krzyku, niemej, tłumionej rozpacz, która wypełniała mnie od środka. I to jest

najgorsze – nie sama przemoc, którą wtedy wyrządzałem, lecz fakt, że nikt nie próbował sięgnąć głębiej, by zrozumieć dlaczego. Nikt nie podał mi ręki. Zamiast tego byłem sam – sam w swoim gniewie, sam w swojej nienawiści do świata, który mnie odrzucił. I teraz czuję ciężar, który tamten chłopiec dźwigał, nie wiedząc, że ten ból nigdy nie miał zostać jego własnym ciężarem. Bo to była walka, której nie miał szans wygrać – walka nie z innymi, ale z samym sobą. Jest takie powiedzenie: Co cię nie zabije, to cię wzmocni. W pewnym sensie się z tym zgadzam, ale w moim przypadku to wzmocnienie dawało mi za dużo siły i agresji wobec rówieśników. Zamiast sprawić, że stałem się silniejszy w pozytywnym sensie, sprawiło, że stałem się niebezpieczny, a moja złość przekształciła się w broń, którą wymierzałem w innych.

W tamtym okresie przemoc była dla mnie jak oddech – naturalna, niekwestionowana, instynktowna. Dorastałem w świecie, gdzie siła i brutalność były jedynymi językami, jakie rozumiano. Gdy byłem dzieckiem, codziennie byłem upokarzany – przez rodzinę, przez starszych kolegów z podwórka, przez otaczający świat. Każde słowo, każdy gest, który miał mnie zranić, zostawiał głęboki ślad. W pewnym momencie zrozumiałem, że w tym środowisku nie było miejsca na słabość. Jeśli chciałem przetrwać, musiałem stać się kimś, kogo inni się bali. Pierwsze razy, gdy użyłem pięści, były to chaotyczne, impulsywne, ale skuteczne ciosy. Odkryłem, że siła potrafi zamknąć usta, które wcześniej się śmiały, i zgiąć głowy, które patrzyły z góry. To uczucie było jak wyzwolenie, jak dowód, że w końcu mam nad czymś kontrolę. Nie potrzebowałem słów, by się bronić, moje pięści mówiły wszystko. Z czasem przemoc stała się moją odpowiedzią na wszystko. Gdy ktoś spojrzał na mnie nie tak, jak chciałem, gdy ktoś powiedział coś, co mi się nie podobało – uderzałem. Czułem, że w ten sposób odzyskuję równowagę, że wyrównuję rachunki z całym światem, który wcześniej mnie krzywdził. W mojej głowie była tylko jedna zasada – albo ja pokażę swoją siłę, albo znowu ktoś mnie zmiążdży.

Na wałbrzyskich ulicach, szkołach, dyskotekach byłem nieustraszony, wręcz prowokacyjny. Wchodziłem tam z jednym celem – znaleźć kogoś, kto ośmieli się mnie sprowokować. To była moja scena, moje pole walki, gdzie mogłem udowadniać swoją dominację. Inni przychodzili tam, by się bawić,

flirtować lub szukać miłości. Ja przychodziłem, by walczyć. Każdy cios, każde upokorzenie, które zadawałem innym, było dla mnie niczym plaster na moje własne rany. Przemoc zawsze działała. Siła zawsze działała. Dla mnie w tamtym okresie było to oczywiste, niepodważalne. To był pewnik, z którym zgadzałem się w 100%. Jeśli jednak nie działała, oznaczało to tylko jedno – użyłem jej za mało. Ta prosta zasada kierowała moim życiem. Każdego dnia wstawałem z gotowością, by walczyć. Nie tylko z innymi, ale i z sobą samym, z bólem, który nosiłem w sobie od dziecka. Wiedziałem, że muszę być silniejszy, szybszy, bardziej bezwzględny, by przetrwać. Jako dziecko, które było ciągle poniewierane, nauczyłem się jednego: siła, przemoc i moje pięści to jedyne wyjście. Nie widziałem innych dróg, innych możliwości. Wszystko, co robiłem, wszystko, kim byłem, sprowadzało się do tego prostego przekonania. To było moje paliwo, moja broń i moja tarcza przeciwko światu, który wydawał się nastawiony wyłącznie na to, by mnie zniszczyć.


JEŻELI OD NAJMŁODSZYCH LAT W MOJĄ DUSZĘ WLE-
WANO NIENAWIŚĆ, PONIŻANIE I STRACH, ZACZAŁEM
STAWAĆ SIĘ TYM, CO WIDZĘ, CO SŁYSZĘ, CO CZUJĘ I NA
CZYM SKUPIAM SWOJĄ UWAGĘ. DZIŚ WIEM, ŻE TO NIE
JA BYŁEM ZŁY, TO OTOCZENIE MOJEGO DOMU RODZIN-
NEGO UKSZTAŁTOWAŁO MNIE W TEN SPOSÓB.

CHRISTO STOICZKOW – NIESPEŁNIONE MARZENIA PIŁKARZA


„Jedni liczą mistrzostwa Polski, inni tylko sezony gry w ekstraklasie. My w Wałbrzychu zaliczamy się do tych drugich i z łezką w oku wspominamy lata 80. w wykonaniu piłkarzy Górnika. Pamiętacie te mecze, gdy na stadionie na Nowym Mieście zasiadało nawet 30 tys. kibiców? Ech, co to były za czasy... Żeby zrozumieć fenomen piłkarskiego Górnika z lat 80., trzeba cofnąć się o kilkadziesiąt lat. Pamiętamy, że w 1968 i 1973 roku wałbrzyskanie zdobyli mistrzostwo Polski juniorów. Później ci młodzi chłopcy wchodzili do zespołu seniorskiego, stanowiąc o jego sile, a miejscowi fani identyfikowali się z piłkarzami, których znali na co dzień. Pokażcie nam dzisiaj taki model szkolenia na poziomie I ligi”¹.

Jak już wspominałem, zapowiadałem się na niezłego sportowca. Byłem silny, szybki, a moja wytrzymałość i determinacja pozwalały mi rywalizować z najlepszymi. Co roku brałem udział we wszystkich zawodach sportowych organizowanych przez szkołę. W biegach, szczególnie przełajowych, odnajdywałem się najlepiej – czy to na Wzgórzu Gedymina, czy w Parku Książ, zawsze byłem w czołówce. Dystanse 60, 100 i 400 m także były stworzone dla mnie. Pamiętam szczególnie jedne zawody na stadionie Zagłębia Wałbrzych, gdzie w biegu na 600 m startowało wielu zawodników z różnych szkół. Były to prestiżowe zawody, które mogły otworzyć drzwi do szkoły sportowej. Wystartowałem jak błyskawica, ale przede mną biegł Radek – mały, szybki jak samolot kolega z mojej szkoły. Przez 300–400 m dotrzymywałem mu kroku, ale końcówka była dla mnie koszmarem. Dobiegłem do mety jako czwarty. Nie ma się czym chwalić, prawda? W tamtej chwili czułem jedynie rozczarowanie i żal. Każdy z moich rówieśników miał sportowe buty, a ja... biegłem w sztrukturalnych bucikach na lekkim obcasie. Miałem tylko jedną parę butów, a o sportowych mogłem jedynie marzyć. To nie był przypadek, to była codzienność,

¹ <https://walbrzych.dlawas.info/sport/fenomen-pilkarskiego-gornika-lat-80-tych/ci-d,24924,a> (data dostępu 16.03.2025 r.).



Dziś Górnik Wałbrzych gra
biało-niebieska drużyna
Ty dziś wygrasz ważny mecz
mistrza Polski będziesz mieć
i nadejdą piękne dni,
gdy powróci chwała Twa
w kraju rządzić będzie znów
z biedaszybów ekipa!
ALLEZ ALLEZ ALLEEEEZ



której nie mogłem pokonać. Bieda i alkoholizm w domu zabrały mi szansę na to, co mogło być wielkie. I tak oto, na tamtym stadionie, moja kariera biegacza dobiegła końca, zanim na dobre się zaczęła. Jednak kiedy wstąpiłem do klubu piłkarskiego KP Wałbrzych (kochane biało-niebieskie barwy), moje serce zabiło mocniej. Piłka nożna fascynowała mnie od dawna – zbierałem karty, naklejki, albumy z piłkarzami, a teraz sam grałem w klubie.

Christo Stoiczkow Stoiczkow – laureat Złotej Piłki 1994, z reprezentacją Bułgarii zajął czwarte miejsce na mundialu 1994 i został współkrólem strzelców turnieju. Powszechnie uważany jest za najlepszego piłkarza w historii bułgarskiej piłki nożnej. 4 maja 1990 r. podpisał pięcioletnią umowę z klubem FC Barcelona i był częścią słynnego dream teamu Johana Cruyffa².

Już ponad 30 lat kibicuję Katalończykom i jako początkujący piłkarz marzyłem, że jestem jak Christo Stoiczkow z Barcy. Gdy tylko zacząłem trenować, piłka stała się moją codziennością. Trenowałem sumiennie, a po treningach grałem na boisku z kolegami. To była prawdziwa ucieczka od problemów w domu. Byłem szybki, silny, idealny napastnik, ale mój trener, Tadeusz O., miał ze mną tylko jeden problem – brakowało mi techniki. Piłka często mi odskakiwała, a trener krzyczał: „Zaraz ci klej na stopy nałożę!”. Gdy inni odpoczywali, ja dostawałem rozkaz: „Jaworski, ty nie odpoczywasz – ty żonglujesz!”. Pierwszy mecz były niesamowity, strzeliłem pierwszego gola główką, a potem dorzuciłem jeszcze jednego. Wygraliśmy 6:0.

Piłka dawała mi chwilę oddechu od trudności, które narastały zarówno w domu, jak i w szkole. Strzelałem bramki niemal w każdym meczu – Skalnik, Mieroszów, Struga, Altra Zdrój. Kolejne gole, kolejne sukcesy. Z czasem jednak było coraz trudniej. Wszyscy grali w skórzanych korkach, a ja miałem trampkokorki po kimś. Na mecze jeździłem bez jedzenia i wody, a w domu problemy wciąż się piętrzyły. Coraz częściej opuszczałem treningi, a trener, choć starał się mnie wspierać, nie mógł tego tolerować. Zacząłem siadać na ławce rezerwowych, przez co moja motywacja topniała. Na treningach przestałem być już tak szybki i silny. Nie mam pretensji do trenera, on nie wiedział,

² https://pl.wikipedia.org/wiki/Christo_Stoiczkow (data dostępu 06.03.2025 r.).

co siedziało w mojej głowie czy sercu, a ja wstydziłem się mówić o tragicznej sytuacji w domu. W klubie nikt nie wiedział o moich problemach. Tam byłem otwarty, uśmiechnięty, wolny, ale w środku nosiłem ogromny ból, który w końcu przyćmił moją miłość do piłki. Po prawie dwóch latach gry zrezygnowałem. Szkoda, bo każdy powtarzał, że zapowiadałem się na dobrego piłkarza. Mimo tego, co słyszałem, ciężar domowych problemów i brak odpowiedniego wsparcia okazały się zbyt dużą przeszkodą, by kontynuować rozwój tej pasji. W głębi serca czułem, że mógłbym osiągnąć więcej, ale okoliczności zwyciężyły. Jednak Górnik na zawsze pozostanie w moim sercu!